Laura Bellini

Zanim mi uwierzysz

Piękna historia nie zastąpi uczciwej prawdy



Zanim mi uwierzysz

Piękna historia nie zastąpi uczciwej prawdy

Laura Bellini

ROMANS

ISBN: 9788384902950

ALL-IN Rafał Płonkowski



SPIS TREŚCI

INTRO 4
Rozdział 1 - Warunki, których nie negocjuję..... 12
Rozdział 2 - Wszystko, czego nie zapisaliśmy w umowie 22
Rozdział 3 - Zapach niedopowiedzianych słów 35
Rozdział 4 - Kiedy kończą się bezpieczne tematy 45
Rozdział 5 - Prawo do odmowy..... 60
Rozdział 6 - Tam, gdzie kończą się słowa 71
Rozdział 7 - Pomiędzy nami a prawdą 82
Rozdział 8 - Ludzie, których wybieramy 92
Rozdział 9 - Ryzyko, które wybieramy razem 103
Rozdział 10 - To, czego już nie ukrywamy 114
Rozdział 11 - Bliskość ma swoje granice..... 126
Rozdział 12 - Historia, która nie pasowała do dokumentów 138
Rozdział 13 - Cena cudzych oczekiwań 150
Rozdział 14 - Prawda, której jeszcze nie umiał powiedzieć 161
Rozdział 15 - Wszystko, czego mi nie powiedziałeś 174
Rozdział 16 - Odległość, której nie da się skrócić 186
Rozdział 17 - To, co należy do mnie 198
Rozdział 18 - Koszt prawdy 209
Rozdział 19 - Wszystko, co zostaje po prawdzie 221
Rozdział 20 - Zanim mi uwierzysz..... 233

INTRO

Pierwszą rzeczą, którą zauważyłam, był zapach.

Nie perfumy, choć moja pracownia od kilku dni przypominała laboratorium człowieka, który stracił rozsądek. To była woń mokrego papieru, starego drewna i czegoś delikatnie gorzkiego, przypominającego skórkę pomarańczy pozostawioną na parapecie. Dochodziła z niewielkiego kartonowego pudełka stojącego na moim biurku.

Nie należało do mnie.

O ósmej siedemnaście w poniedziałkowy poranek uznałam to za pierwszy problem dnia.

Drugim był mężczyzna, który właśnie wszedł do mojej krakowskiej pracowni bez najmniejszego zamiaru przepraszania za spóźnienie.

— Dominika Sucha? — zapytał.

Podniosłam wzrok znad ekranu. Miał na sobie ciemny płaszcz, pod którym widać było grafitowy sweter, i wyglądał na człowieka przyzwyczajonego do podejmowania decyzji. Nie był przesadnie elegancki. W jego wyglądzie najbardziej przyciągała uwagę pewna naturalna swoboda, jakby nigdy nie musiał zastanawiać się, czy znajduje się we właściwym miejscu.

— Zależy, kto pyta.

Uśmiechnął się lekko.

— Julian Wilk.

Znałam to nazwisko. Trzy dni wcześniej otrzymałam wiadomość od właściciela niewielkiej krakowskiej wytwórni perfum, który poszukiwał projektantki identyfikacji wizualnej

dla nowej marki. Odpisałam, że mogę zaproponować termin konsultacji w środę. On odpowiedział, że środa będzie za późno.

Nie potraktowałam tego jako zaproszenia do negocjacji.

— Byliśmy umówieni na środę — zauważyłam.

— Wiem.

— A dzisiaj jest poniedziałek.

— Zauważyłem.

Odłożyłam rysik. Nie dlatego, że zrobił na mnie wrażenie. Po prostu nie lubiłam, kiedy ktoś naruszał granice, zanim zdążyłam je wyznaczyć.

— W takim razie mamy problem z kalendarzem.

Julian spojrzał na pudełko.

— Przyniosłem coś, co może panią zainteresować.

— A ja mam coś, co może zainteresować pana. Regulamin współpracy.

Tym razem roześmiał się cicho. Bez kpiny. Raczej tak, jak śmieje się człowiek, który niespodziewanie spotkał kogoś gotowego odpowiedzieć mu równie stanowczo.

Powinnam była zakończyć rozmowę.

Miałam trzydzieści jeden lat, własną pracownię, kredyt na mieszkanie na krakowskim Podgórzu i wystarczająco dużo doświadczeń z klientami, którzy traktowali cudzy czas jak bezpłatny dodatek do faktury. Właśnie przygotowywałam projekt identyfikacji dla marki ceramicznej, który mógł otworzyć mi drogę do współpracy z większym studiem w Kopenhadze. Po raz pierwszy od dawna moja zawodowa przyszłość zaczynała przybierać kształt, jaki sama dla niej wymyśliłam.

Nie zamierzałam pozwolić, żeby nieznajomy z ładnym głosem poprzestawiał mi poniedziałek.

— Ma pan dziesięć minut — powiedziałam.

— Wystarczy.

— Nie byłabym taka pewna.

Zdjął płaszcz dopiero wtedy, gdy wskazałam mu krzesło. Ten drobiazg zauważyłam wbrew sobie. Zanim usiadł, przesunął pudełko w moją stronę, ale nie otworzył go bez pozwolenia.

— Chcę stworzyć zapach oparty na historii mojej rodziny — wyjaśnił. — Nie kolejny produkt, który pachnie luksusem i opowiada o niczym. Coś, co ma pamięć.

— Pamięć jest trudna do sprzedania.

— Nie chcę jej sprzedawać.

Spojrzałam na niego wymownie.

— Prowadzi pan wytwórnię perfum.

— Chcę sprzedawać perfumy. Pamięć ma być powodem, dla którego powstaną.

To było lepsze zdanie, niż się spodziewałam.

Julian otworzył pudełko. W środku znajdowały się pożółkłe kartki, kilka fotografii, kawałek bordowej wstążki i niewielki szklany flakon. Jego korek miał nieregularny kształt, a na szyjce pozostał ślad po dawnej etykiecie.

Ostrożnie podniosłam jedną z fotografii. Przedstawiała kobietę w jasnej sukience, stojącą przy drewnianym stole. Jej twarz była częściowo zasłonięta cieniem, ale sposób, w jaki opierała dłoń na blacie, wydawał się zadziwiająco swobodny.

— Kim była?

— Moją babką, Heleną.

— A flakon?

— Należał do niej.

Obróciłam szkło w palcach. Na spodzie widniały drobne nierówności, które mogły świadczyć o wieku przedmiotu. Nie znałam się jednak na dawnym szkle wystarczająco dobrze, żeby wyciągać wnioski.

— Co jest na tych kartkach?

— Notatki. Przepisy, wspomnienia, fragmenty korespondencji. Helena przez lata eksperymentowała z zapachami.

— Była perfumiarką?

Julian zawahał się na ułamek sekundy.

— Nigdy zawodowo.

Nie umknęło mi to zawahanie, choć równie dobrze mogło wynikać ze zwyczajnego zastanowienia.

Rozłożyłam pierwszy arkusz. Atrament miejscami wyblakł. Między nazwami składników znalazłam słowa zapisane drobniejszym pismem: Nie zapominaj, jak pachniał tamten wieczór.

Poczułam nieoczekiwane ukłucie wzruszenia.

Moja matka przechowywała podobne drobiazgi. Karteczki, bilety, zasuszone kwiaty. Po jej śmierci długo nie potrafiłam ich przeglądać. Potem odkryłam, że najtrudniej wyrzucić rzeczy, które dla wszystkich innych nie mają żadnej wartości.

— Piękne — przyznałam.

— Właśnie dlatego tu jestem.

Odłożyłam kartkę.

— Nie powiedziałam, że podejmę się projektu.

— Jeszcze nie.

— Panie Wilk…

— Julian. Jeśli mamy rozmawiać o zapachach, które pamięta się przez całe życie, możemy chyba zrezygnować z oficjalnych tytułów.

Powinnam była uznać to za kolejną próbę skrócenia dystansu. Zamiast tego dostrzegłam zmęczenie ukryte pod jego pewnością siebie. Delikatne cienie pod oczami, napięcie w palcach, które prostowały brzeg bordowej wstążki.

— Dominika — odpowiedziałam, choć nie zamierzałam jeszcze wyrażać zgody na nic więcej.

Jego spojrzenie na chwilę zatrzymało się na mojej twarzy.

— Miło mi.

Nie odpowiedziałam od razu. W jego głosie pojawiła się nuta ciepła, której nie było podczas wcześniejszej wymiany zdań. Zauważyłam też, że gdy czekał na moją reakcję, nie próbował zapełnić ciszy. Większość klientów bała się milczenia. On pozwalał mu wybrzmieć.

Wróciłam do dokumentów.

Na odwrocie fotografii widniała data: 1968. Obok znajdował się dopisek wykonany innym charakterem pisma. Ktoś zanotował tylko dwa słowa: Pierwsza próba.

— Co to oznacza?

Julian pochylił się, żeby zobaczyć napis.

Przez chwilę znaleźliśmy się bliżej siebie, niż wymagała sytuacja. Pachniał cedrem i czymś świeżym, trudnym do uchwycenia. Nie był to ciężki, demonstracyjny zapach.

Raczej dyskretna obecność, którą odkrywało się dopiero z niewielkiej odległości.

— Prawdopodobnie pierwszy przepis babki — powiedział.

— Prawdopodobnie?

Wyprostował się.

— Nie wszystko w archiwum da się jednoznacznie odczytać.

Zapamiętałam tę odpowiedź.

Nie dlatego, że od razu wzbudziła podejrzenia. W mojej pracy niejednokrotnie spotykałam się z niekompletnymi materiałami. Wiedziałam jednak, jak szybko przypuszczenie potrafi zmienić się w pewnik, kiedy zaczyna służyć pięknej opowieści reklamowej.

— Będę potrzebowała potwierdzonych informacji — powiedziałam. — Jeśli zdecydujemy się współpracować, nie podpiszę swoim nazwiskiem historii, której nie umiemy udokumentować.

— Rozumiem.

Powiedział to natychmiast.

Być może zbyt natychmiast.

Zamknęłam pudełko i przesunęłam je w jego stronę.

— Przygotuję propozycję warunków. Po środowym spotkaniu.

Julian spojrzał na zamknięte wieko, potem na mnie.

— Zostawiam archiwum. Chciałbym, żebyś mogła je spokojnie obejrzeć.

— Nie przyjęłam zlecenia.

— Wiem. Możesz odmówić.

Wstał i sięgnął po płaszcz. Nie próbował przekonywać mnie pieniędzmi ani obiecywać wyjątkowego sukcesu. Ta powściągliwość była bardziej intrygująca niż jego wcześniejsza pewność siebie.

Przy drzwiach odwrócił się jeszcze raz.

— Dominika?

— Tak?

— Nie szukam kogoś, kto po prostu zrobi ładne opakowanie.

— To dobrze. Ja nie szukam klienta, który potrzebuje tylko ładnego opakowania.

Uśmiechnął się, ale tym razem nie odpowiedział.

Kiedy wyszedł, pracownia odzyskała ciszę. Na ekranie nadal czekał niedokończony projekt ceramicznych etykiet. Kalendarz przypominał o terminach, które wyznaczyłam sobie z taką starannością. Wszystko wyglądało dokładnie tak samo jak godzinę wcześniej, poza kartonowym pudełkiem stojącym pośrodku biurka.

Otworzyłam je ponownie.

Pod fotografiami znajdowała się niewielka koperta. Nie zauważyłam jej wcześniej. Wyjęłam ze środka arkusz cienkiego papieru, na którym ktoś zapisał kilka zdań, a potem przekreślił ostatnie dwa. Atrament był ciemniejszy niż na pozostałych dokumentach.

Przeczytałam widoczny fragment.

Nie każda historia powinna być opowiedziana tak, jak chcielibyśmy ją zapamiętać.

Zostałam z kartką w dłoniach i wspomnieniem spojrzenia Juliana, kiedy mówił o swojej babce.

Chciałam stworzyć coś prawdziwego. Coś, czego nie musiałabym później tłumaczyć ani bronić przed własnym sumieniem.

A jednak po raz pierwszy od bardzo dawna równie mocno chciałam poznać człowieka, który przyniósł mi tę historię.

Tylko czy potrafiłabym mu zaufać, jeśli piękno jego opowieści okaże się ważniejsze od prawdy?

Rozdział 1 - Warunki, których nie negocjuję

W środę rano przesunęłam filiżankę kawy na drugi koniec biurka i po raz trzeci przeczytałam wiadomość od Juliana Wilka.

Przyniosę próbki zapachu. Mam nadzieję, że dokumenty nie przestraszyły pani bardziej niż moje poniedziałkowe wejście.

Nie wiedziałam, co bardziej mnie irytowało: fakt, że pamiętałam dokładnie brzmienie jego głosu, czy to, że odruchowo uśmiechnęłam się do ekranu.

Odpisałam krótko:

Dokumenty rzadko mnie przerażają. Niepunktualni klienci znacznie częściej.

Odpowiedź przyszła niemal natychmiast.

Będę pięć minut wcześniej.

Odłożyłam telefon, zanim zdążyłam napisać coś równie niepotrzebnego.

Przez dwa dni zajmowałam się archiwum, które zostawił w mojej pracowni. Nie dotykałam go przez cały poniedziałek po jego wyjściu, próbując przekonać samą siebie, że mam pilniejsze sprawy. We wtorek wieczorem rozłożyłam dokumenty na dużym stole, przygotowałam lampę z regulowanym ramieniem i zaczęłam fotografować poszczególne kartki, żeby móc później pracować na kopiach.

Niektóre zapiski były proste i praktyczne. Nazwy składników, proporcje, krótkie uwagi dotyczące trwałości

zapachów. Inne przypominały fragmenty pamiętnika. Helena Wilk pisała o kwiatach otwierających się po deszczu, o gorzkich pomarańczach, o cedrowej szafie w mieszkaniu swojej matki. Pomiędzy tym wszystkim znajdowały się fotografie oraz niewielkie koperty bez adresatów.

Najbardziej zastanawiał mnie jednak arkusz z przekreślonym zdaniem.

Nie każda historia powinna być opowiedziana tak, jak chcielibyśmy ją zapamiętać.

Nie potrafiłam stwierdzić, czy zapisano je wiele lat temu, czy znacznie później. Papier wyglądał inaczej niż pozostałe dokumenty. Był cieńszy, gładszy, niemal pozbawiony przebarwień. Mogło to oznaczać, że ktoś dołączył go do archiwum po latach.

Nie miałam zamiaru wyciągać pochopnych wniosków.

Miałam natomiast zamiar zadać kilka pytań.

O dziewiątej pięćdziesiąt pięć rozległ się dzwonek.

Julian dotrzymał słowa.

Kiedy otworzyłam drzwi, stał na korytarzu z płaskim czarnym pudełkiem w jednej ręce i papierową torbą w drugiej. Tym razem miał na sobie jasną koszulę pod ciemną marynarką. Włosy wyglądały tak, jakby przeczesał je dłonią zamiast grzebieniem.

— Punktualność to początek długiej drogi do rehabilitacji — powiedziałam.

— Przyniosłem argumenty na swoją obronę.

Uniosłam brwi.

— Jeśli są jadalne, rozważę ich przyjęcie.

Wyjął z torby dwa rogaliki z pobliskiej piekarni.

— Jeden z migdałami. Drugi z malinami. Nie wiedziałem, który wolisz.

— A jeśli nie jadam słodyczy?

— Wtedy będę musiał zjeść oba i pogodzić się z porażką.

Wpuściłam go do środka.

Nie dlatego, że kupił śniadanie. W każdym razie nie wyłącznie dlatego.

Pracownia zajmowała dwa pokoje w starej kamienicy niedaleko Kazimierza. W większym stały biurka, regały z próbkami papieru i ogromna tablica, na której przypinałam szkice. Mniejszy służył jako miejsce spotkań. Lubiłam wysokie okna, skrzypiący parkiet i nierówne ściany, które właściciel proponował kiedyś wygładzić. Odmówiłam. Nie wszystko musiało wyglądać tak, jakby dopiero wyjechało z fabryki.

Julian zatrzymał się przy tablicy.

— To twoje projekty?

— Większość.

— Każdy wygląda inaczej.

— To miało zabrzmieć jak zarzut?

— Jak komplement. Myślałem, że projektanci mają własny styl, który narzucają wszystkim klientom.

— Dobrzy projektanci potrafią odróżnić własne upodobania od potrzeb marki.

Spojrzał na mnie z zainteresowaniem.

— A ty jesteś dobrą projektantką?

— Wystarczająco dobrą, żeby wiedzieć, że nie powinnam odpowiadać na to pytanie.

Zaśmiał się i usiadł naprzeciwko mnie.

Rozłożyłam przygotowane materiały. Na pierwszej stronie znajdował się harmonogram, na drugiej warunki współpracy, dalej pytania dotyczące produktu. Nie zamierzałam pozwolić, żeby jego urok osobisty zastąpił konkrety.

— Zanim zaczniemy, musimy ustalić jedną rzecz — powiedziałam. — Nie projektuję legend.

— A co projektujesz?

— Tożsamość. Różnica jest zasadnicza.

Oparł przedramiona na stole.

— Wyjaśnij mi ją.

— Legenda może być piękna, nawet jeśli nie wydarzyła się naprawdę. Tożsamość marki musi wytrzymać kontakt z rzeczywistością. Jeśli twierdzimy, że zapach powstał według receptury twojej babki, potrzebuję podstaw, żeby to napisać.

Przez moment patrzył na dokumenty.

— Chcę, żeby ludzie poczuli, że trzymają w dłoniach coś więcej niż perfumy.

— Mogą to poczuć bez zapewnienia, że każdy szczegół opowieści jest historycznym faktem.

— Ale wtedy tracimy część emocji.

— Albo zyskujemy wiarygodność.

Uśmiech zniknął z jego twarzy. Nie wyglądał na obrażonego, lecz po raz pierwszy od naszego poznania przestał traktować rozmowę jak przyjemną wymianę argumentów.

— Pracowałem nad tym zapachem prawie dwa lata — powiedział. — Zainwestowałem w niego pieniądze, których

moja firma nie może sobie pozwolić stracić. Potrzebuję premiery, która zainteresuje ludzi.

— Rozumiem.

— Nie jestem pewien.

— Julian, rozumiem presję sprzedaży. Nie oznacza to, że zgodzę się napisać coś, czego nie potrafimy potwierdzić.

Odsunął się od stołu.

— A ja nie chcę, żeby rodzinna historia została sprowadzona do neutralnego tekstu na pudełku.

Przez kilka sekund przyglądaliśmy się sobie w milczeniu.

Nie chodziło już o identyfikację wizualną. Chodziło o to, kto będzie decydował, jaką historię wolno opowiedzieć.

— W takim razie być może nie powinniśmy współpracować — powiedziałam.

Julian spojrzał na mnie uważnie.

— Naprawdę tak łatwo rezygnujesz?

— Z projektu, którego warunki mi nie odpowiadają? Tak.

— Nawet jeśli jest interesujący?

— Zwłaszcza wtedy.

Nie odwrócił wzroku. Zauważyłam, że jego pewność siebie nie wynikała wyłącznie z przyzwyczajenia do stawiania na swoim. Pod napięciem kryło się coś bardziej osobistego. Jakby nie bronił pomysłu marketingowego, lecz wspomnienia, którego utraty nie potrafił sobie wyobrazić.

Wreszcie otworzył czarne pudełko.

Wewnątrz, osadzone w miękkiej piance, znajdowały się trzy niewielkie flakony.

— Zanim zdecydujesz, powąchaj.

— Zapach nie zmieni moich warunków.

— Wiem. Ale może zmienić twoje wyobrażenie o projekcie.

Wyjął pierwszy flakon i podał mi blotter. Nanieśliśmy na niego niewielką ilość płynu. Najpierw poczułam cytrusy, później coś zielonego, wilgotnego, jak ogród o świcie. Kompozycja była świeża i elegancka, ale brakowało jej charakteru.

— Ładny — powiedziałam.

— Najbardziej znienawidzone słowo w mojej pracy.

— Dlaczego?

— Bo ludzie mówią tak, kiedy nie mają nic więcej do powiedzenia.

Drugą próbkę otworzył sam. Była cieplejsza, cięższa, z wyraźną nutą drewna. Przywodziła na myśl stare mieszkanie, którego okna wychodziły na ogród.

— Ta ma historię — przyznałam.

— Ale nie tę właściwą.

Trzeciego flakonu nie podał mi od razu. Obracał go przez chwilę między palcami, jakby rozważał, czy chce ujawnić coś ważnego.

— Ta kompozycja jest najbliższa temu, co chciałem osiągnąć.

Na papierze pojawił się zapach gorzkiej pomarańczy, delikatnej róży i cedru. Nie był słodki. Miał w sobie coś surowego, a zarazem niezwykle intymnego. Zmienił się po kilku minutach, łagodniejąc i odsłaniając ciepłą nutę, której wcześniej nie wyczuwałam.

Zamknęłam oczy.

Przez moment przypomniałam sobie letnie wieczory u matki. Otwarty balkon, drewnianą komodę i jej dłonie pachnące kremem. Nie była to dokładnie ta sama woń. Raczej podobne uczucie bezpieczeństwa, którego od lat nie umiałam nazwać.

— Właśnie — usłyszałam cichy głos Juliana.

Otworzyłam oczy.

— Co?

— Tak wygląda człowiek, który coś sobie przypomniał.

Nie zapytałam, skąd wiedział. Może dlatego, że nie chciałam opowiadać nieznajomemu o matce.

— Ten zapach jest wyjątkowy — powiedziałam. — Nie potrzebuje fałszywych obietnic.

— Nie zamierzam niczego fałszować.

Słowa zabrzmiały stanowczo.

Popatrzyłam na niego, próbując odczytać, czy oburzyła go sama sugestia, czy znaczenie, jakie jej przypisałam.

— W takim razie nie powinniśmy mieć problemu z zapisaniem tego w umowie.

Przez moment wyglądał, jakby chciał coś powiedzieć. Zamiast tego sięgnął po filiżankę.

— Dobrze. Zaproponuj swoje warunki.

Nie dałam po sobie poznać ulgi.

Przez następną godzinę omawialiśmy zakres pracy. Miałam przygotować strategię wizualną, nazwę linii, projekt flakonu i opakowania oraz materiały komunikacyjne. Produkcją zapachu zajmował się jego zespół. Ustaliliśmy też, że żaden element kampanii nie trafi do publikacji bez zatwierdzenia przez obie strony.

Najwięcej czasu zajęła nam kwestia rodzinnego archiwum.

— Chcę, żeby było sercem projektu — powiedział Julian.

— Może nim być. Ale potrzebuję rozdzielenia dokumentów źródłowych od interpretacji.

— A jeśli dokumenty nie opowiadają pełnej historii?

— Wtedy nie będziemy udawać, że ją znamy.

Zapisałam to zdanie w notatkach.

Julian obserwował ruch mojego długopisu.

— Zawsze jesteś tak nieustępliwa?

— Tylko kiedy mam rację.

— Czyli zawsze?

— Zdarzają mi się dni wolne.

Roześmiał się. Tym razem jego śmiech rozładował napięcie, którego wcześniej oboje nie chcieliśmy nazwać.

Przeszliśmy do harmonogramu. Zaproponował premierę za osiem tygodni. Ja potrzebowałam co najmniej dziesięciu, biorąc pod uwagę korekty projektów i próbne wydruki.

— Osiem — powtórzył.

— Dziesięć.

— Dziewięć?

— Dziewięć i pół.

Spojrzał na mnie z rozbawieniem.

— Naprawdę negocjujemy pół tygodnia?

— Nie. Pokazuję ci, jak absurdalnie wygląda negocjowanie czasu, którego potrzebują drukarnia i dostawcy.

Ostatecznie ustaliliśmy dziesięć tygodni, z możliwością wcześniejszego zamknięcia projektu, jeśli wszystkie etapy przebiegną bez opóźnień. Julian zaakceptował harmonogram, ale postawił dodatkowy warunek: chciał osobiście uczestniczyć w kluczowych decyzjach dotyczących opowieści i wyglądu marki.

— Nie zatrudniam cię po to, żeby oddać własną historię komuś obcemu — wyjaśnił.

— A ja nie przyjmuję zlecenia po to, żeby ktoś projektował za mnie.

— Czy możemy oboje zachować prawo głosu?

— Pod warunkiem że potrafisz zaakceptować odpowiedź, która ci się nie spodoba.

Patrzył na mnie chwilę.

— Spróbuję.

To jedno słowo zabrzmiało bardziej uczciwie niż obietnica bezwarunkowej zgody.

Kiedy wyszedł po podpisaniu wstępnego porozumienia, zostałam sama z trzema blotterami. Zapach na ostatnim zmienił się ponownie. Cytrusowa ostrość ustąpiła miejsca czemuś delikatniejszemu, niemal skórzanemu.

Zamiast wrócić do projektu ceramiki, otworzyłam szkicownik.

Narysowałam prostokąt o zaokrąglonych krawędziach, a następnie pojedynczą bordową linię. Nie wiedziałam jeszcze, czy będzie częścią przyszłego opakowania. Wiedziałam jedynie, że ten kolor pasował do zapachu: był głęboki, ale nie krzykliwy.

Telefon zawibrował.

Dziękuję za dzisiaj. Nieczęsto ktoś mówi mi nie i sprawia, że chcę wrócić do rozmowy.

Przeczytałam wiadomość dwa razy.

To zależy, czy następnym razem będziesz miał lepsze argumenty.

Odpowiedź pojawiła się po chwili.

Postaram się. Chociaż podejrzewam, że bardziej interesuje mnie rozmowa niż wygrana.

Odłożyłam telefon ekranem do dołu.

Za oknem tramwaj przejechał przez mokre torowisko. W pracowni pachniało kawą, papierem i perfumami, których nie potrafiłam jeszcze wyrzucić z myśli.

Miałam własne plany, jasno wyznaczone granice i bardzo dobry powód, żeby traktować Juliana wyłącznie jak klienta.

Problem polegał na tym, że po raz pierwszy od dawna granica między zawodową ciekawością a czymś znacznie bardziej osobistym nie wydawała mi się tak oczywista.

A kiedy następnego dnia otworzyłam komputer, pierwszym plikiem, który chciałam zobaczyć, nie był projekt dla Kopenhagi.

Był nim szkic opakowania zapachu Juliana Wilka.

Rozdział 2 - Wszystko, czego nie zapisaliśmy w umowie

W piątek o siedemnastej czterdzieści pięć podpisałam ostateczną wersję umowy i wysłałam ją Julianowi do elektronicznej akceptacji.

Zrobiłam to z satysfakcją właściwą człowiekowi, który właśnie uporządkował jeden z najbardziej nieprzewidywalnych elementów swojego tygodnia.

Przynajmniej na papierze.

W rzeczywistości przez ostatnie dwa dni wymieniliśmy siedemnaście wiadomości dotyczących projektu i trzy, których nie potrafiłam zakwalifikować do żadnej kategorii zawodowej.

Pierwsza zawierała zdjęcie kota siedzącego na pudełku z etykietami.

Nowy kierownik kontroli jakości. Nie przyjmuje reklamacji.

Druga była odpowiedzią na moje pytanie, czy kot otrzymuje wynagrodzenie.

Znacznie większe, niż powinien.

Trzecia przyszła późnym wieczorem.

Czy ty też czasem zostajesz w pracy dłużej, bo nie masz ochoty wracać do pustego mieszkania?

Nie odpowiedziałam od razu.

To pytanie było zbyt osobiste jak na relację, która oficjalnie obejmowała wyłącznie projektowanie marki perfum. A jednak nie potrafiłam uznać go za niestosowne. Nie brzmiało jak próba wymuszenia bliskości. Raczej jak

nieoczekiwane przyznanie się do czegoś, czego ludzie zwykle nie mówią na początku znajomości.

Tak. Ale nie zawsze dlatego, że mieszkanie jest puste.

Julian nie próbował wydobyć ze mnie więcej.

Rozumiem.

I właśnie ta odpowiedź sprawiła, że długo patrzyłam na ekran.

Nie lubiłam ludzi, którzy każdą szczelinę w cudzej ostrożności traktowali jak zaproszenie do wejścia. On tym razem pozwolił mi zdecydować, ile chcę powiedzieć.

O osiemnastej zadzwoniła moja przyjaciółka, Marta.

— Żyjesz? — zapytała zamiast powitania.

— Ostatnio sprawdzałam.

— To dobrze. Bo od trzech dni odpisujesz mi jak urzędnik zajęty wydawaniem decyzji administracyjnych.

Uśmiechnęłam się i zamknęłam komputer.

Marta znała mnie od studiów. Pracowała jako architektka wnętrz i posiadała niezwykłą umiejętność rozpoznawania mojego nastroju na podstawie długości wiadomości tekstowych.

— Mam nowego klienta — powiedziałam.

— Przystojnego?

— Nie wiem, co to ma do rzeczy.

— Czyli przystojnego.

— Marta.

— Dobrze. Bogatego?

— Prowadzi niewielką wytwórnię perfum.

— To nie odpowiedź.

— Nie pytałam o jego konto bankowe.

— To też odpowiedź.

Usiadłam na parapecie. Na ulicy zapalały się pierwsze latarnie, a mokry bruk odbijał światła przejeżdżających samochodów.

— Jest uparty — powiedziałam. — I ma skłonność do przekraczania harmonogramów.

— Brzmi jak twój najgorszy koszmar.

— Powinien nim być.

Marta zamilkła na moment.

— Oho.

— Nie zaczynaj.

— Nic nie powiedziałam.

— Właśnie to jest najgorsze.

Po zakończeniu rozmowy przez chwilę siedziałam bez ruchu. Nie chciałam przyznawać przed Martą, a tym bardziej przed sobą, że od naszego ostatniego spotkania kilkakrotnie wracałam myślami do twarzy Juliana. Do sposobu, w jaki marszczył brwi, kiedy analizował moje uwagi. Do tego, że nie próbował ukrywać zmęczenia, gdy rozmowa schodziła na odpowiedzialność za firmę.

Nie było w nim doskonałości, która zwykle budziła moją nieufność. Była ambicja, upór i coś znacznie mniej wygodnego: zdolność do słuchania, nawet kiedy nie zgadzał się z rozmówcą.

Telefon zadzwonił ponownie.

Tym razem na ekranie pojawiło się jego nazwisko.

— Dostałem umowę — powiedział bez wstępu.

— Gratuluję umiejętności odbierania poczty.

— Czy w twojej pracowni obowiązuje zakaz komplementów?

— Nie. Tylko brak zniżek za uprzejmość.

Usłyszałam jego śmiech.

— Mam jedno pytanie dotyczące punktu czwartego.

Otworzyłam dokument.

— Słucham.

— Zapis o zatwierdzaniu komunikacji. Chciałbym mieć możliwość przedstawiania własnych propozycji tekstów.

— Masz. Ale nie możemy traktować materiałów historycznych jako swobodnej inspiracji, jeśli później opiszemy je jako fakty.

— Rozumiem. Chodzi mi o ton. Nie chcę, żeby marka brzmiała jak raport z archiwum.

— Ja również.

— W takim razie możemy to doprecyzować?

Przez kilka minut ustalaliśmy brzmienie zapisu. Julian zgodził się, że treści przedstawiane jako fakty muszą mieć wskazane źródła. Ja zaakceptowałam możliwość tworzenia bardziej literackich opisów, pod warunkiem że odbiorca nie zostanie wprowadzony w błąd co do ich charakteru.

Nie było to całkowite zwycięstwo żadnej ze stron.

I właśnie dlatego uznałam je za dobry początek.

— Wyślę poprawioną wersję za godzinę — powiedziałam.

— Możesz jutro.

— Wolę zamknąć temat.

— Dominika?